

ZOSTAWIŁEM TU SERCE

Rozmowa Ewy Sapeńko
z Profesorem Tadeuszem Bilińskim

> Panie Profesorze, pełnił Pan w swoim życiu tyle funkcji administracyjnych, naukowych i politycznych, że można by było obdzielić życiorysy kilku osób, a nie tylko jednego Profesora. Proszę powiedzieć, która z tych działalności sprawiła Panu najwięcej satysfakcji?

Muszę powiedzieć, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Pytanie jest bardzo trudne, bo to przecież zależy od wielu rzeczy, np. od tego w jakim okresie życia te funkcje pełniłem. Bo ja swoje życie mógłbym podzielić na kilka okresów.

> No to dzielimy...

No dobrze, więc pierwszy okres to „poznański”, potem „zielonogórski”, a w międzyczasie „zagraniczny”, no i praca w Sejmie. Moja działalność dydaktyczna, naukowa, organizacyjna, polityczna była bardzo niejednorodna, ciągle przeplatana, i muszę powiedzieć, że nigdy nie było tak, że swój czas poświęcałem tylko jednej dziedzinie, a innym już nie. Moja praca dydaktyczna przeplatała się z pracą naukową, potem z polityczną, a czasami nawet gospodarczą. W tym samym czasie pełniłem różne funkcje, trudno mi więc stwierdzić, które z tych wszystkich działań były najbardziej satysfakcjonujące. Mogę natomiast powiedzieć, że najwięcej satysfakcji dawała mi każda działalność, która mogła przysłużyć się społeczności, zwłaszcza lokalnej. Nie dlatego, że to takie oczywiste, tylko po prostu - taki mam charakter. Jeżeli ktoś osiąga sukcesy, otrzymuje nagrody, uzyskuje tytuły, jest zadowolony z życia i ja chociaż w drobny sposób się do tego przyczyniłem, to mam głęboką satysfakcję, że spełniłem swój obowiązek. Tak, najwięcej satysfakcji sprawiło mi bycie użytecznym lokalnej społeczności. Taki byłem całe życie i taki już pozostanę.

A bardziej szczegółowo odpowiadając na pytanie, to każdą swoją działalność traktuję niezwykle poważnie. Dzisiaj ktoś mógłby powiedzieć, że może pracę dydaktyczną traktuję już trochę bardziej swobodnie, ale nic bardziej błędnego. Wręcz przeciwnie, podchodzę do tego bardzo pryncypialnie i zdecydowanie, o czym mogą zaświadczyć sami studenci (©). Zawsze się przygotowuję, zajęcia staram się przeprowadzić jak najlepiej, staram się być sprawiedliwy i tworzyć dobrą atmosferę. I to jest chyba moja cechą charakterystyczną.

Kiedy działałem w Sejmie, nawet na krótki okres nie zerwałem kontaktów z uczelnią. Prowadziłem zajęcia zaś wynagrodzenie które otrzymywałem za pracę dydaktyczną było potrącanie z mojego uposażenia poselskiego. Więc za pracę dydaktyczną nie otrzymywałem w gruncie rzeczy



żadnych gratyfikacji. Zresztą, dziennikarze sprawdzili to dokładnie i rzeczywiście nie mogli mi nic zarzucić. Biliński spłacał wszystko co do grosza. Będąc posłem nie mogłem przecież pobierać pensji na uczelni, ale musiałem tu być, bo obecność profesora była niezbędna do utrzymania uprawnień do doktoryzowania z *budownictwa*. Dzisiaj też spotykamy się z takimi sytuacjami, ale wtedy było to niezwykle ważne, bo nasz wydział miał jako pierwszy prawa doktoryzowania i nie mogliśmy ich stracić. Chciałem być tu stale obecny - prowadziłem doktoraty, habilitacje - miałem więc ciągły związek z uczelnią. Nie było w moim życiu okresu całkowitego wyłączenia się z działalności jednej czy drugiej. Za każdym razem starałem się żyć w społeczeństwie i w zależności od potrzeby, tu czy tam, bardziej się aktywizowałem.

> Czyli nigdy niczego nie odkładał Pan na później?

Nie, nigdy. Ale nie zawsze dało się wszystko pogodzić tak, jak bym sobie tego życzył. Podczas mojej pracy w Sejmie, a byłem przecież posłem przez pięć kadencji, efekty mojej pracy naukowej były znacznie gorsze. Widać to wyraźnie chociażby po spisie monografii, skryptów czy książek. Choć i tak nazbierało się tego niewiarogodnie dużo, ale chyba dlatego, że pracowałem wtedy i w soboty i w niedziele, a wypoczynku minimum. Po prostu starałem się łączyć pracę dydaktyczną, naukową i działacza społecznego. I tak jest do dzisiaj, bez żadnej taryfy ulgowej. Choć niezaprzeczalnie moja aktywność jest już dużo mniejsza, to jednak w dalszym ciągu działam w wielu organizacjach nie tylko na terenie naszego województwa, ale też całego kraju. Dość dużo w związku z tym

podróżuję, często wyjeżdżam, niektórzy nawet dziwią się, że mi się jeszcze chce.

> **To co w takim razie teraz Pan robi?**

Pracuję na pełnym etacie na Uniwersytecie Zielonogórskim, prowadzę zajęcia dydaktyczne, i co jest dla mnie bardzo istotne, organizuję dwie konferencje. Jedna to *Konstrukcje zespolone* - ta konferencja jest na stałe wpisana do kalendarza Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej Polskiej Akademii Nauk, ma więc już charakter bardzo prestiżowy, ogólnopolski. A druga konferencja, to *Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych*. Z tego właśnie tytułu mam wiele różnych obowiązków. Poza tym, dość często występuję na różnych konferencjach, niekiedy szkoleniach. W grudniu na przykład, w Urzędzie Marszałkowskim odbędzie się duże spotkanie, organizowane przez Panią Marszałek Polak, poświęcone problemom ludzi niepełnosprawnych. Ja na tym spotkaniu wygłoszę referat wprowadzający o ochronie praw osób niepełnosprawnych. Przez długi czas zajmowałem się tą problematyką zawodowo, głównie z punktu widzenia barier architektonicznych, więc temat jest mi bliski. Dużo czasu poświęcam też na prezentację innych problemów, np. energii odnawialnej.

> **A Pańska działalność pozauczelniana?**

Na przykład *Zielonogórskie Perspektywy* - to jest stowarzyszenie zajmujące się sprawami rozwoju Zielonej Góry, więc właściwie każde środowisko popołudnie mam zajęte. Działam w Polskim Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, w Lubuskiej Okręgowej Izbie Inżynierów Budownictwa, Lubuskiej Izbie Budownictwa, w Warszawie w Izbie Projektowania Budowlanego, w Polskim Towarzystwie Mieszkaniowym, którego byłem założycielem i jestem honorowym prezesem. Tak więc mam ciągły kontakt ze środowiskiem, co sobie bardzo cenię. To samo dotyczy też Sejmu. Ponieważ wykładam *prawo budowlane*, a są to zagadnienia, które zmieniają się bardzo często, więc chcąc je prezentować studentom, muszę weryfikować je na bieżąco. Wprawdzie korzystam ze specjalnego oprogramowania, które daje mi wgląd we wszystkie zmiany, ale możliwość bezpośredniego kontaktu z członkami sejmowych komisji czy podkomisji jest nieodzowna. Akurat ostatnio byłem w ministerstwie, gdzie poproszono mnie o napisanie w najbliższej przyszłości opinii o założeniach i pierwszym etapie kodyfikacji *Prawa budowlanego*. Stało się tak z pewnością dlatego, że podczas całej swojej pracy w Sejmie zajmowałem się stanowieniem prawa, no i ta ciągłość pozwala mi na bardziej wnikliwe spojrzenie na problem.

Poza tym kontakt z niektórymi ludźmi związanymi ze szkolnictwem wyższym czy z polityką czasami pomaga w załatwieniu wielu spraw, których na poziomie województwa załatwić się nie da.

> **À propos załatwiania. W czasie kiedy był Pan posem, nasze zielonogórskie uczelnie przechodziły transformację. Najpierw w 1996 r. WSI przekształcała się w Politechnikę, a ta w 2001 r. wspólnie z WSP w Uniwersytet. Było to możliwe także dzięki parlamentarzystom. Pan Był jednym z nich.**

No oczywiście, byłem wtedy bardzo tym zainteresowany. Pierwsze takie działanie, dla mnie bardzo emocjonalne, to było uzyskanie statusu Politechniki Zielonogórskiej. Było to może nie aż tak trudne zadanie, przy spełnieniu jedne-

go założenia - zainteresowania niektórych środowisk - nie tylko zielonogórskiego, ale też koszańskiego, kieleckiego - żebyśmy wspólnie stworzyli pewien zespół, który by prowadził agitację na rzecz tego przekształcenia. I to się udało, bo spełniliśmy przecież wszystkie wymagania, choć samo przeprowadzenie tej procedury było dla mnie bardzo ważne. Przypominam sobie swoje wystąpienie w Sejmie - miałem możliwość zaprezentowania uczelni, jej osiągnięć naukowych i dydaktycznych. Na sejmowej galerii obecny był ówczesny rektor, prof. Michał Kisielewicz i obserwował wszystkie wydarzenia. Miałem wtedy głęboką satysfakcję. Ale to nie oznacza, że był to jakiś mój indywidualny sukces, po prostu uczelnia zasługiwała na zmianę statusu. Większe trudności były w przypadku Uniwersytetu, ale to wynikało z wątpliwości co do łączenia uczelni. Na przykład ośrodek opolski zrezygnował z połączenia z Politechniką i powołał odrębnie Uniwersytet, tak samo Rzeszów. Wstępne próby dyskusji w naszym środowisku wykazywały, że WSP nie uzyska tak szybko statusu Uniwersytetu, dlatego zdecydowano o połączeniu i rozpoczęto działania na rzecz powstania Uniwersytetu Zielonogórskiego poprzez połączenie dwóch uczelni. To swego rodzaju novum, ale nie było jakichś większych przeciwności. W samym ministerstwie panował wtedy taki pogląd, by na wzór zachodni tworzyć jednostki z wydziałami technicznymi, nauk ścisłych i humanistycznymi. I tutaj ograniczeń żadnych nie było, przypominam sobie nawet szersze dyskusje, że być może uda się wrócić do tradycji przedwojennych, kiedy nie było akademii medycznych czy ekonomicznych. To były wydziały na uniwersytetach. Ale o ile dobrze sobie przypominam, to najbardziej istotnym czynnikiem, który zdecydował o tym, żeby nie rozszerzać pojęcia uniwersytet w nieskończoność, była liczba studentów. Ale wracając do tematu, uczestniczyłem w tych bardzo istotnych zmianach statusu uczelni, i bardzo sobie to cenię.

> **A dlaczego zrezygnował Pan z działalności politycznej?**

Zbyt długo to już trwało. Ja wyznaję zasadę, że należy odejść w odpowiednim momencie. Całe życie mi się to udawało, za wyjątkiem odejścia z Uniwersytetu Zielonogórskiego:). Oczywiście zamierzałem już wcześniej odejść z uczelni, ale sytuacja się skomplikowała i moja praca na wydziale została uznana za niezbędną. Chodzi o uzyskanie praw do habilitowania. A wracając do polityki, byłem posem pięć kadencji, i pięć razy poddawałem się weryfikacji społecznej. Za każdym razem uzyskiwałem pełną akceptację wyborców. Swoją pracę parlamentarzysty zakończyłem także przy pełnej akceptacji środowiska poselskiego. Mogę się pochwalić, że na zakończenie swojej działalności otrzymałem puchar Fair Play, za to, że przez tyle lat potrafiłem bezkonfliktowo prowadzić Komisję Budownictwa, niezależnie od politycznej orientacji rządu. I to był ten moment, kiedy podjąłem decyzję, że więcej nie będę startował. Wielu mówiło, że źle robię, ale byli też tacy, którzy uczciwie mówili: *Wiesz co, Stary, ty masz rację. Wreszcie trzeba kiedyś skończyć*. I to dotyczyło wszystkich moich dotychczasowych funkcji. Za każdym razem odchodziłem w odpowiednim momencie. Za wyjątkiem, jak już powiedziałem, odejścia z UZ, czego oczywiście nie traktuję negatywnie. Jestem zaszczycony, że mogę jeszcze być potrzebny. Poza tym uważam, że akurat w przypadku uczelni jest to dopuszczalne, a szczególnie tak młodej uczelni, jaką jest nasz Uniwersytet, kiedy jeszcze musimy kształtować to nasze, młode przecież, środowisko akademickie.

> **Panie Profesorze, przyjechał Pan do Zielonej Góry w 1976 r. Nie żałuje Pan, że na stałe przeniósł się Pan z dużego ośrodka akademickiego, jakim jest Poznań, do niewielkiego i młodego ośrodka zielonogórskiego?**

Muszę Pani powiedzieć coś bardzo ważnego. Idąc na tę rozmowę przypomniałem sobie, że kiedy otrzymałem propozycję przyjazdu do Zielonej Góry, to trochę się nawet zastanawiałem. Miałem też inne, dobre propozycje, ale to żona zdecydowała, powiedziała - *Jedziemy*. Ona była bardziej odważna, ja jestem raczej przywiązany do środowiska i nie decyduję się tak łatwo. I wtedy jeden z pierwszych wywiadów, jakich udzieliłem w Zielonej Górze, już nie pamiętam do jakiej gazety, został zatytułowany moimi słowami, które powiedziałem *Chcę tu zostawić serce*. Konsternacja była nieprawdopodobna, bo nikt do tej pory takiej deklaracji nie złożył.

> **Przyjechał Pan do Zielonej Góry, żeby objąć funkcję rektora WSI...**

Tak, ale to były zupełnie inne czasy. Wtedy jeszcze się ludzie tak nie przeprowadzali. A ja tak odważnie to wtedy powiedziałem, chociaż z pełnym przekonaniem. Mam po prostu taki charakter. Jeżeli się na coś decyduję, to muszę się wywiązać z tego obowiązku. I to nie dlatego, że piastuję jakąś tam funkcję. Przecież potem jej nie będę piastował, nic nie trwa wiecznie, ale będę pracował na rzecz tego środowiska.

Sytuacja uczelni była wtedy bardzo trudna, ale do tego lepiej nie wracać. Powiem tylko, co może być interesujące dla tych, którzy pamiętają tamte czasy, że zostałem przez ministra mianowany rektorem wbrew woli Komitetu Wojewódzkiego PZPR, co w tamtych latach było nie do pomyślenia. I Sekretarz w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać, na uczelni też, nowego, przystanego z zewnątrz rektora nie od razu i nie wszyscy zaakceptowali. Zostałem więc sam, atmosfera była dość trudna, otoczenie tak, jak już mówiłem, tylko w części było życzliwe, ale udało mi się w dość krótkim czasie przekonać do siebie wszystkie niechętne mi osoby. Myślę, że zdecydowało o tym moje zaangażowanie, ciągła obecność, podejmowanie wielu inicjatyw, także na rzecz środowiska studenckiego, z którym byłem bardzo związany. Tak więc bardzo odważne było z mojej strony to stwierdzenie, że chcę tutaj zostawić serce. Potem się zastanawiałem czy nie powiedziałem tego zbyt pochopnie, bo jak już mówiłem, zawsze wywiązuję się z raz danego słowa.

> **I wywiązał się Pan? Zostawił Pan serce w Zielonej Górze?**

Tak. Bez reszty. Niedawno powiedziałem jednemu z moich przyjaciół, że chyba już powinienem zakończyć tę swoją pracę w Zielonej Górze. A on mi na to powiedział - *Wiesz co, ciebie nawet jak wyrzucą, to ty i tak nie zakończysz*. I to rzeczywiście chyba tak jest. Dla przykładu powiem, że byłem w Algierii dwa lata i mogłem zostać dłużej, ale nie chciałem. Była nawet taka zabawna sytuacja, rektor uniwersytetu w Oranie namawiał mnie na przedłużenie pobytu, a ja nie bardzo wiedziałem jak z tego wybrnąć. Sytuacja stawała się dla mnie coraz bardziej kłopotliwa, zostałem nawet wyrózniony za prowadzenie wykładów, jako jedyny obcokrajowiec - mogłem sobie pozwolić na dobre przygotowanie się do zajęć nawet w j. francuskim i nie czytać z kartek, bo przecież nie miałem tam nic innego do roboty, ale dłużej zostać nie chciałem. Napisałem

więc do prof. Kisielewicza, żeby on, jako rektor nie wyraził zgody na przedłużenie mojego pobytu za granicą. I udało się, wróciłem do Zielonej Góry. Miałem potem ponowne zaproszenie, ale już nie zdecydowałem się na wyjazd. Ja chciałem pracować w Polsce. I to co teraz powiem, może będzie zaskoczeniem w tym współczesnym, zglobalizowanym świecie, ale dla mnie największą karą, jaką mógłbym otrzymać, byłaby banicja. I mimo, że w krajach, których języki znam, poruszam się swobodnie, nie mam żadnych problemów, to jednak bycie tylko numerem w środowisku, bez możliwości udziału w jego kształtowaniu i konsumpcyjne podejście do życia nie daje mi absolutnie żadnej satysfakcji.

U nas człowiek ma imię i nazwisko, nie jest numerem jak to bywa na dużych uczelniach. Kiedy byłem rektorem WSI, jeździłem nawet na obrony prac doktorskich. Bo wtedy każdy doktor się liczył. A habilitacja to było ogromne święto na uczelni. Miałem nawet specjalny notesik, w którym zapisywałem postępy wszystkich doktorów ze wszystkich wydziałów ówczesnej WSI. A ostatnio miałem przemiłą rozmowę z prof. Adamskim (prof. Marian Adamski z Wydziału Elektrotechniki, Informatyki i Telekomunikacji - od red.), który za każdym razem przypomina mi, że kiedy był asystentem, otrzymał osobiście przeze mnie napisaną kartkę z życzeniami świątecznymi. Było to dla niego ogromne przeżycie, wszystkim naokoło pokazywał, że rektor do niego napisał. A ja rzeczywiście własnoręcznie wtedy pisałem te kartki do wszystkich, którzy wyjeżdżali za granicę albo byli za granicą. I do studentów też. Uważałem, że jest to potrzebne, aby im pokazać, że ich tu potrzebujemy i żeby wracali. Może ktoś powie, że to już nie na nasze czasy i pewnie będzie miał rację. Wiem o tym, że ja już nie pasuję do dzisiejszej rzeczywistości. Oczywiście nie mam nic przeciwko tym czasom, bo mam świadomość, że niezależnie od tego, co ja powiem, to i tak świat potoczy się nie tak, jak ja to sobie wyobrażam. Ale sobą mogę pozostać.

> **Panie Profesorze, w dalszym ciągu jest Pan potrzebny na uczelni i prowadzi bardzo aktywne życie zawodowe, ale jednak kiedyś przyjdzie taki moment, że przejdziesz Pan na emeryturę. Co Pan wtedy będzie robił?**

No przede wszystkim... będę pracował.

> **Acha...**

Ja nie umiem odpoczywać, a tak się jakoś złożyło, że moje hobby, które miałem kiedyś, to rzeczy już nieaktualne, jak filatelistyka czy szachy. Gratem w brydża sportowego, ale to też już przeszłość, bo umysł nie pozwala na taki złożony wysiłek. Po prostu będę dalej pracował. Jedyna pasja, jaka mi jeszcze została poza pracą, to muzyka poważna. Regularnie odwiedzam filharmonię, uwielbiam operę. Bardzo duży wpływ na to moje zainteresowanie miała muzyka kościelna, i fakt, że przez wiele lat śpiewałem w *Poznańskich słowikach* u Stefana Stuligrosza. I dziś w ramach możliwości chodzę na koncerty symfoniczne i w każdym sezonie zaliczam ich co najmniej osiem. I to nie jest czas stracony. W kontakcie z kulturą człowiek dojrzewa, staje się pełniejszy, nabywa określonych wartości. Na pewno dużo czasu będę poświęcał zagadnieniu ochrony praw osób niepełnosprawnych. Na pewno nie będę odpoczywał.

> **Dziękuję za rozmowę.**